

2144p37.

U stóp szubienicy

Urywek ze wspomnień wię-
ziennych »proletaryatczyka«

Mieczysława Mańkowskiego.

(1885-6 r.)

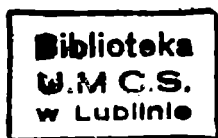
~~K 2550~~

Bolesław Banach

Kraków 1905

Spółka Nakładowa »Książka«, Kraków, Grodzka 50.

A-11518



Jan. 10. 1917

K. 239 | 56 | 387

Z 18 na 19 grudnia 1885 r. (późno po północy) oczekiwaliśmy w celach X. pawilonu chwili, gdy poprowadzą nas do sądu, by nam ogłosić wyroki.

Sen nie sklejał nam powiek.

Chociaż daremne były wszelkie rozmyślania na temat, jakie będą wyroki, myśl mimowoli zwracała się do tej kwestyi.

Bezstronnie sądząc, § 249 padł pod ciosami obrony.

Pietrusiński, Bloch, Degórski, Helszer powinni być zupełnie uniewinnieni. Zdrajca Pacanowski zaplątał się i dla sędziów było jasne, że kręci on jak może, byle wyjść cało. Słowik, Dąbrowski i Tomaszewski... będą także wolni... Poszlaki przeciwko nim usunięte. Bardowskiego, Lury'ego i Rechniewskiego zesłał administracyjnemu... niema danych, by ich zasądono.

Lecz myśli te płoszy wspomnienie szydersko uśmiechniętej twarzy członka sądu Strelnikowa... i prokuratora Morawskiego, co z taką pewnością siebie żąda dla wszystkich bez wyjątku kary śmierci. Twierdzi on bezczelnie, że dokładnie mu wiadomo, iż takie jest życzenie sfer wyższych. A lękliwy przewodniczący Fryderyks i karni pułkownicy, co jako sędziowie zasiadają... Coraz bardziej

bleknie obraz sprawiedliwości, a na miejsce jego wyłania się nowoczesny krzyż — szubienica.

Mękj pełne oczekiwanie ciągnie się bez końca...

Na prawo odemnie słyhać szerokie stąpanie Ludwika Waryńskiego. Cęła za ciasna dla jego kroków... milkną one wkrótce.

Można by z Ludą pogadać przez „tunel“... lecz o czym?... Dziś... każde słowo byłoby niewłaściwem.

Podszedłem do okna. Tam, przez górne niematuwe szyby, widać było kawałek ciemnego nieba, na niem jasno świeciły rozrzucone gwiazdy. Dziwnie niemile uczucie ogarnęło mnie na widok tego skrawka nieba z łagodnie migocącemi gwiazdami, co tak obojętnie, spokojnie patrzyły na ludzkie cierpienia.

Ze wstrętem odszedłem od okna, rzuciłem się na łóżko, usiłując nie myśleć, zasnąć... Próżne usiłowania, zasnąć nie mogłem... myśli, jak rój natrętnych much, nie dawały spokoju.

Nie pamiętam, jak długo przeleżałem na pościeli; nagle z zadumy wyrwały mnie jakieś oddalone niejasne dźwięki; zmąciły one nocną ciszę i coraz bardziej rosły. Korytarz nasz ożył. Słyhać było stąpanie, szczęk broni. To żandarmi z konwojem przyszli po nas.

Byliśmy wszyscy gotowi i wkrótce, w otoczeniu żołnierzy, wyszliśmy z dziedzińca X. pawilonu, kierując się do wielkiego gmachu, gdzie była urządzona sala sądowa.

Miesiąc cały zdołał nas przyzwyczaić do widoku konnych kozaków z pikami, otaczających ten gmach ponury, do tych patroli konnych i pieszych, do tej dróżki,

którą nogi nasze w śniegu wydeptały... Przywykliśmy do całej ostentacyi, którą nas otaczali żandarmi.

Lecz dzisiejszy pochód nasz nie był podobny do poprzednich. Dziś jakieś naprężenie było w naszym konwoju. Zawsze milczący, dzisiaj zdawał się on bardziej jeszcze milczącym. Czuć było jakieś zamyślenie, niepokój. Odstęp między każdym więźniem a jego konwojem był równiejszy. Żandarmi byli grzeczniejsi, ale zarazem baczniejsi.

Uroczyściej jakoś szła nasza procesya, w tem milczeniu, w północnej ciszy; rozlegał się tylko skrzyp kroków naszych po śniegu.

Dla odczytania wyroków podzielono nas na trzy grupy. Ja byłem w drugiej.

Gdy nas wprowadzono do sali, sędziowie siedzieli ze spuszczonei oczyma, jak ludzie, którzy popełnili zbrodnię.

Zaczęto czytać wyrok. Wymieniono nazwiska i ogłoszono, że sąd uznał nas winnymi przekroczenia § 249 i skazuje wszystkich na karę śmierci.

Staliśmy spokojnie.

Wreszcie, sądząc, że wszystko już się skończyło, poruszyliśmy się, chcąc wyjść z sali.

Tymczasem po długiej przerwie, czytanie znów się rozpoczęło, dowiedzieliśmy się, że kara śmierci zamienioną została na katorgę.

Zrozumieliśmy, że przerwa ta umyślnie była przez sąd urządzona, aby zobaczyć, jakie wrażenie wywrze na nas wyrok śmierci.

Z sali sądowej wprowadzono nas do pokoju, w którym zastaliśmy jeszcze towarzyszy z pierwszej grupy. Dowiedzieliśmy się od nich, że na karę śmierci zasądzeni zostali: Bardowski, Ossowski, Pietrusiński, Kunicki, Szmaus i Lury.

Gdyśmy wyszli z sądu, myśl nasza biegła uparcie do sześciu towarzyszy, skazanych na stracenie.

Ogarniało nas wobec nich jakieś uczucie wstydu czy winy, że nie podzielimy ich losu, ich męczarni. Myśl o naszej katordze nie przychodziła nam do głowy.

Przy wejściu w podwórze naszego pawilonu uderzył nas niezwykły widok. Z ciemności nocnej jaskrawo występowały oświetlone okna, a na ich tle rysowały się sylwetki naszych towarzyszy, znajdujących się pod śledztwem i oczekujących teraz na nasz powrót.

Jeden z nich zapytał: „kto? jaki wyrok?”

Odpowiedziałem głośno.

Takie pytania zadawano każdemu z powracających, a w ciszy nocnej głos nasz dolatywał do wszystkich więźniów, siedzących od strony podwórza.

Noc ta stała się pamiętną dla wszystkich, znajdujących się w X. pawilonie.

I nietylko dla nich.

Nas, skazańców, łączyło tysiące serdecznych nici z naszymi towarzyszami, którzy tam w Warszawie z niecierpliwością i trwogą o los nasz oczekiwali wieści z sądu.

Tam Dębski, dzielny nasz towarzysz, ryzykując, że złapanym zostanie przez polujących nań żandarmów,

przyjechał z zagranicy, aby być w tak ważnej chwili w Warszawie.

Czuliśmy w te dni pamiętne, że serdeczne nici połączyły nas z Warszawą. Wszędzie mowa tylko o sędzie, o żandarmach, o podsądnych, o obrońcach... Nici te, ręką rządu napięte, złączyły z nami całą Warszawę, całą Polskę, której oczy ku nam były zwrócone...

Nieustraszony Dębski płacze jak dziecko na wieść o wyrokach. Byłoby mu lżej, gdyby miał los nasz podzielić. Ale sprawa wymaga pracy. I Dębski czuje, że obowiązkiem jego pracować dalej.

Przekupka z Franciszkańskiej ulicy drży z oburzenia. W sprzeczce z kozakiem wrywa się jej okrzyk:

„Zbóje, wy tylko wieszacie nasze dzieci!“

Ją także łączą z nami niewidzialne nici.

Z jednej strony Dębski, nasz towarzysz — z drugiej przekupka, której słowa doleciały do X. pawilonu i utkwily w mej pamięci... Nie pustka żadna oddziela naszego druha od przekupki: przestrzeń to, przez miliony zapełniona; morze głów, którego nie rozdzielają i nie mogą rozdzielić kordony.

Morze to drży, ono faluje i jednym tętmem uderza. Widzi ono znów szubienice... Wspomina Nerczyńskie kopalnie...

Szuka ono znaku, pod którym giną nowi męczennicy, i widzi jasno czerwony sztandar, na którym napisano:

„Swobody, fabryk i ziemi!“

Czyż można pomyśleć, by słowa te nic nie powiedziały temu falującemu morzu głów ludzkich?

Nie. Wierzyliśmy, że ofiary nie giną napróżno, że rzucają one ziarna, które plon wydać muszą.

Wracam do X. pawilonu.

Dzieje się tu dziś coś niezwykłego. Już mówiłem, żeśmy głośno zakomunikowali wyroki nasze towarzyszom. Biegają oni ku drzwiom swych cel i wykrzykują tak, by znajdujący się z drugiej strony korytarza mogli słyszeć. W kilka minut, dzięki tej otwartej komunikacji, wieść o wyrokach dosięga do wszystkich zakątków więzienia.

Gdzieś się podziela dyscyplino, surowości X. pawilonu? —

Żandarmi, żołnierze nie tylko nie przeszkadzają, lecz sami pomagają w rozszerzaniu tych wieści.

Cóż za przyczyna tej zmiany?

Jasnym było dla nas, że uczucie sprawiedliwości i sympatii ku nam, istniejące nawet w żandarmskich sercach, przebito się, pod wpływem dzisiejszej nocy, przez skorupę zgangrenowanej dyscypliną duszy żandarmskiej i wylało się na zewnątrz.

* * *

Ta pierwsza noc po odczytaniu wyroków ciągnęła się bez końca. Była ona cała jedną dręczącą zmorą. Myśli biegły jedne za drugimi, i wieńcem z różnych uczuć splecionym otaczały naszych skazańców.

Dźwięczała w tych myślach pobudka do walki, potężna jak huragan, w którego wyciu słyszeć było i jęki i płacz, zagłuszane pieśnią zwycięstwa; to znów wpla-

tała się w ten wieniec nienawiść do ciemieżców, przechodząca w żądzę zemsty, w żądzę zmiżdżenia tych, co tamują drogę do szczęścia całej ludzkości; to znów przepelni pierś uczucie miłości i przebaczenia, zdolne objąć świat cały, całą ludzkość... A w sercu budzi się taka rzewność, taka cisza... —

Myśli te, zmieniające się jak w kalejdoskopie... to cały chaos uczuć, dążeń... to muzyka, przy dźwiękach której tak łatwo umierać w walce.

Długo ciągnęła się ta noc... wreszcie i ona z wolna ustępować zaczęła.

Powoli bladły gwiazdy.

Powoli, lecz coraz to wyraźniej zarysowywały się w oknach kraty, jak zimna rzeczywistość, jak tama dla serdecznych popędów.

Powoli w ranek ten wyływało słońce, a pod jego promieniami śnieżna biel zdawała się więcej uroczyścią, jak gdyby już wiecznem była pokryciem dla zdrętwiałej ziemi. Jak gdyby ziemia ta już na zawsze zamarła, jak gdyby już nigdy nie miała się rozstać ze swym białym śmiertelnym całunem.

Ten słoneczny poranek pierwszym był z czterdziestu. Czterdzieści dni oddzielało nas od dnia, w którym rząd zamordował czterech naszych towarzyszy! A wtedy nie wiedzieliśmy o tem. Myśleliśmy, że kilka dni przedzie, nim zatwierdzą wyroki... a może tego nie zrobią?... i jakoś gorąco chciało się wierzyć w to, na co szans było tak mało... Życie skazańców zależało w zupełności

od kaprysu zbrodniarzy, przywykłych mordować ludzi dekretami.

W poranek ten wszyscyśmy chcieli coprędzej zobaczyć się z zasądzonymi na stracenie. Lecz co i jak mówić z nimi — nie wiedzieliśmy. Jakieś uczucie winy nie opuszczało nas.

Herbatę rozdano, cele wymieciono. Pukam do drzwi pełen obawy, czy pozwolą na widzenie się z towarzyszami. Żandarm podchodzi sam, — to dobry znak. Mówię o mem życzeniu. I — o dziwo! — otwierają mi. Idę korytarzem, zatrzymuję się przed drzwiami, za którymi słychać gwar. Żandarm znów drzwi otworzył.

W celi zastałem wszystkich zasądzonych na śmierć i kilku katorżan. Na wszystkich twarzach radość ze spotkania. I gdyby ktoś, nie znający rzeczywistego położenia, wszedł do tej obszernej celi, nie domyśliłby się, że znajduje się tam sześciu ludzi, skazanych na śmierć.

My wszyscy, katorżanie, poddaliśmy się jakoś instynktownie tej atmosferze radości z zobaczenia się i stłumiliśmy trwogę o los towarzyszy. Bardzo by się mylił ten, kto by myślał, żeśmy tego dnia lub później pocieszali skazanych.

Było wręcz inaczej.

Kunicki serdeczny i czuły zwracał się do nas tak, jak gdyby nas właśnie pocieszyć pragnął.

Bardowski filozofował. Dowodził z humorem, że sędziowie zapomnieli, iż wszyscy ludzie skazani są na śmierć, nie wyłączając nawet pułkowników; a to, że je-

den umrze wcześniej, drugi później, to takie głupstwo, o którym gadać nie warto.

I wszyscy oni, jeśli żalowali czego, to tego tylko, że tak mało zrobili dla rewolucyi. Szmaus, Pietrusiński i Ossowski dodawali, że to tem większa szkoda, boć rząd nic więcej przecież nie może im zrobić, jeno tylko powiesić.

Pamiętam jeszcze słowa Pietrusińskiego: „Lżej umierać z przeświadczeniem, że się zrobiło wiele... trzeba pamiętać o tem, że przypadkowe kombinacye życia rewolucyjnego często prowadzą na szubienicę człowieka, który prawie nic dla rewolucyi nie zrobił, a ta sama kapryśna fala wyrzuca na ląd prawie nieuszkodzonego rewolucjonistę, co nieraz śmiało zaglądał śmierci w oczy... Przykładów — aż nadto“.

Nam, katorżanom, uczucie delikatności wobec skazańców nie pozwalało wypowiadać się w tej kwestyi. Lecz w oczach naszych czytali oni uwielbienie i miłość.

Wybrane przez rząd ofiary godne były swych cierniowych wieńców.

* * *

Ulgi, dopuszczone przez administracyę więzienną po wydaniu nam aktu oskarżenia a rozszerzone w czasie sądu, zdawały się jeszcze powiększać. Mogliśmy wszyscy zbierać się w jednej celi, mogliśmy mieszkać dowolnie z kim kto chciał, chodzić do łoga sobie kto zyczył. Żandarmi zamykali nasze cele, ale otwierali je na każde nasze żądanie. Na spacery chodziliśmy grupami.

Opisując te pierwsze dni, nie mogę zamilczeć o przedsięwzięciu, które od pierwszego dnia zajęło wszystkie nasze myśli i naprężyło nasze nerwy. Przedsięwzięciem tem było zorganizowanie ucieczki dla skazanych na śmierć i dla 2—3 katorżan.

Myśl ta kiełkowała jeszcze podczas sądu, lecz straż było wtenczas tak wiele w cytadeli i około X. pawilonu, że trudno było liczyć na powodzenie.

Teraz z ukończeniem sądu życie w cytadeli weszło na zwykłe tory, okoliczności były bardziej sprzyjające.

Plan nasz był następujący: korytarz, na którym wszystkich nas osadzonych pomieszczono, był na pierwszym piętrze od strony Wisły. Przedłużeniem naszego korytarza było mieszkanie jakiegoś inżyniera wojskowego, oddzielone od nas murem zewnętrznym. Z jego mieszkania prowadziło na plac wyjście, niestrzeżone przez straż. Gdyby się nam udało wyjść na strych, znajdujący się nad naszymi celami, od strychu nad mieszkaniem inżyniera oddzielałby nas tylko cienki fajermur. Na wypadek, gdyby w fajermurze nie znalazł się żaden otwór, moglibyśmy z pomocą naszych narzędzi dość prędko przebić w nim dziurę, dostateczną dla przejścia na strych, z którego trzebaby już tylko zejść po schodach na dół. Jeśliby drzwi na strych były zamknięte, to nietrudno ostrą sztamajzą wyrznąć gzyms około filonga, a wyjąwszy ten ostatni można wejść na korytarz mieszkania inżyniera.

W cytadeli mieliśmy oficerów-rosyan, którzy by ułatwili nam wyjście na wolność. Mogliby oni urządzić tak,

by w umówiony dzień inżynier grał gdziekolwiek w Warszawie w karty i by „dzieńszczyk“ był także poza domem. Dzięki temu, mogliśmy gospodarzyć w korytarzu na pierwszym piętrze, nie zwróciwszy niczyjej uwagi.

Wiele drobiazgowych kombinacyj opuszczam, bo chociaż wtenczas miały one dla nas znaczenie, dziś ciekawymi nie są.

W parę dni po sądzie, posiadaliśmy już pistkę, dłuta, rewolwer i inne narzędzia. Ślepą latarkę urządziłem sam z butelki. Oderznąłem sznurkiem szyjkę i dno i okleiłem butelkę suknem. Latarka taka potrzebną nam była, aby móżdż nocą oryentować się na strychu, a zarazem nie obudzić światłem bacności straży.

Zdecydowaliśmy się zrobić otwór na strych z celi, którą zajmowałem z Bardowskim. Było to najtrudniejsze, tembardziej, że w korytarzu było wielu żołnierzy i dwóch żandarmów, którzy mogli usłyszeć piłowanie. Dziurę w suficie trzeba było zrobić tak, aby żandarmi, którzy w dzień wchodzili do naszej celi, nie zauważyli jej.

Wielu z nas uważało to za niemożliwe. Ja jednak, będąc stolarzem i oryentując się doskonale w szczegółach, uważałem ten zamiar za wykonalny. Bardowski, czy to wierzył w mój spryt, czy też zgadzał się z praktycznością moich projektów, dość, że zawsze mnie popierał.

Za naszych czasów sufit w celach nie był gładki jak teraz, lecz składał się z dwóch rzędów desek przybitych jedne na drugich tak, że deski jednego rzędu były widoczne w całej długości i szerokości, a drugi

rząd widocznym był we wgłębieniu. Deski te, jak również i ściany, były pobielone wapnem. To szczególne urządzenie sufitu było dla nas bardzo korzystnem. Wybrałem nad piecem najszerszą deskę i postanowiłem ją przerznąć w poprzek, w dwóch miejscach, klinowato. Aby wypitowany kawałek deski utrzymywał się na miejscu powinienem był piłować go nie pionowo, a ukośnie. Na tych skosach powinien był trzymać się wypitowany kawałek, a dzięki formie klina — przylegać dokładnie do sufitu. Chociaż wielu z nas powątpiewało, czy deska utrzyma się, skoro zostanie przepiłowaną, przekonaliśmy ich, że w każdym razie można będzie ją zakłnować, zalepić chlebem i „zapudrować“ wapnem, a plan ucieczki przez ten otwór porzucić. Uspokoiwszy tak niedowiarków, zdecydowaliśmy się przystąpić natychmiast do roboty.

Nie będę opisywał szczegółowo wszystkich ostrożności, przedsięwziętych dla wypełnienia naszej roboty, która była bardzo trudną. Nietylko najmniejsza nieostrożność, ale i nieprzewidziany wypadek mógł w niwecz obrócić wszystkie nasze usiłowania.

Czaty rozstawiliśmy wszędzie. Żandarmów i żołnierzy nie spuszczałyśmy z oka, śledząc ich przez szczeliny we drzwiach. Gdyby kto z administracyi więziennej wszedł na nasz korytarz, sygnał uwiadomiłby nas o tem natychmiast. Szyldwach pod oknami był także obserwowany. Aby nie mógł mnie zauważyć przy robocie, wchodząc na piec, zakrywałem się prześcieradłem, które z oddalenia zlewało się doskonale z białą ścianą. W celi kilku z nas śpiewało i tańczyło, ja zaś piłowałem do taktu

śpiewu i tańca. Przeświadrowawszy dziurkę w suficie, wstawiłem w nią wąską piłkę. Miała ona drobne zęby, by mniej robiła hałasu, ale też dzięki temu piłowała powoli.

Często, strwożony sygnałem, przerywałem robotę, z możliwą szybkością wyjmowałem piłkę, zostawiałem ją i prześcieradło na piecu, a sam zeskakiwałem na ręce towarzyszy.

Obawa mijiała, a ja znów brałem się do przerwanej roboty.

Nakoniec przepiłowałem i wyjąłem wyrżnięty kawałek deski. Ukazał się otwór, który jeszcze trzeba było rozszerzyć do wielkości zdjętej deski. Nie tracąc czasu, popróbowałem, w którą stronę idą włókna, i sztamają już śmiało, nie licząc się z tempem śpiewu, odszczepiałem drzazgę za drzazgą.

Pamiętam, jak Bardowski wskoczył na plecy jednego z towarzyszy i mówił cicho, bym spróbował, czy wypitowany kawałek będzie się trzymał na swoim miejscu. Pewny siebie — bo, wyjmując deskę, czułem, że się trzyma — odpowiadam: „będzie, popróbuję później“.

Oto i otwór rozszerzony. Bardowski, najtęższy z nas wszystkich, przejdzie na pewno. Wybieramy odpowiednią chwilę. Bardowski z pomocą towarzyszy lekko wchodzi na piec. Próbuje wejść w otwór... Próba się udaje.

Lecz wszystkich śpiewających ogarnia trwoga: czy utrzyma się deska — dziura w suficie zbyt wyraźnie czernieje.

Przykładam wyrżnięty kawałek deski, zlekka zas-

wam i... dziura znika, jakby na zakłęcie czarnoksiężnika, a deska trzyma się znakomicie.

Stolarka moja tryumfuje!

Bardowski zachwycony wyzywająco patrzy na niedowiarków.

☛ Zmęczony, schodzę z pieca. Całuję mnie z radości. Na dziś robota skończona. A jutro znów trzeba będzie przepiłować podłogę strychu, wejść na strych i dalej szukać wyjścia; przebić fajermur, wyrznąć filong...

A może jutro będzie zapóźno!... Serce ścisnęło się boleśnie.

*
*
*

Noc przeszła spokojnie.

Bardowski obudził się radosny, pełen nadziei, bo popatrzawszy przy świetle dziennem na sufit, przekonał się, że jeśliby nawet żandarmom powiedzieć, iż w naszej celi jest dziura — nie uwierzyliby temu. Tak artystycznie było zrobione to wyjście.

Następnego wieczora wypiłowałem otwór w podłodze strychu. Piasek sypał mi się na głowę, a zimne powietrze wiało ku mnie, napelniając serce uczuciem wolności. Było ono wolne, wdzierало się do nas pomimo żandarmów!

Trzeba było tylko odsłonić jedną jeszcze deskę, odrzucić piasek i rumowisko, aby mieć swobodne wyjście z celi na strych.

Nie zważając na to powodzenie, postanowiono jednak czasowo zaprzestać roboty.

Kunicki od samego początku mówił, że woli być powieszonym, niż zabitym w ucieczce. „Szubienice także są nam potrzebne — mówił — i nie należy pogarszać położenia tych, których wyroków mogą nie zatwierdzić“.

Przez wspólnych znajomych naszych i sędziów my i sam Kunicki wiedzieliśmy o wszystkich szczegółach obrad nad naszymi wyrokami.

Większość sędziów wzbraniała się długo osądzić kogokolwiek z nas na stracenie. Jednak, pod naciskiem Strelnikowa i Fryderyksa, zrobili „ustępstwo“ i uznali za możliwe skazanie tylko Kunickiego. Fryderyks, widząc, że nic wskórać nie może, wyjął z kieszeni rozkaz Hurki i pokazał sędziom. Hurko kategorycznie żądał, aby było sześć wyroków śmierci.

Po odczytaniu tego dokumentu, Fryderyks, a głównie Strelnikow, napomknął sędziom o ich karierach i przekonywał, że ich wyrok nie ma żadnej mocy, którą nadaje dopiero confirmacja cara. „Jestem przekonany — mówił Fryderyks — że monarcha zechce okazać zasądzonym swą łaskę. Sąd nie powinien pozbawiać go tej możliwości“.

Ufni w tę łaskę carską... sędziowie wydali sześć wyroków śmierci.

A wszystkim pozostałym złagodzili karę śmierci o dwa stopnie — na więcej nie mieli prawa, z wyłączeniem niepełnoletnich, którym złagodzili o trzy stopnie.

Wiedząc o tem wszystkim, Kunicki był pewnym, że powieszą tylko jego jednego, a innym zamienią karę śmierci na katorgę.

Z pomiędzy zasądzonych na stracenie, w kwestyi decydowania o ucieczce stał z jednej strony Kunicki, z drugiej Bardowski.

My, katorżanie, wstrzymywaliśmy się od decydowania w tej sprawie, bojąc się odpowiedzialności za następstwa dla skazańców. Braliśmy tylko udział w roztrząsaniu technicznej strony naszego projektu.

Bardowski twierdził, że jeśli ucieczka będzie szczęśliwą, to wpłynie ona bardzo dodatnio na nastrój robotników i na stosunek społeczeństwa polskiego do rewolucjonistów. W razie niepowodzenia, nic do stracenia nie mamy: jeśli nas nie powieszą, to w każdym razie zasadą w więzieniu na długie lata, których i części nie wysiedzimy, bo śmierć nas zabierze.

„Co się mnie tyczy — mówił Bardowski — wolę być zabitym przy wyjściu z pawilonu, na strychu lub też na murze cytadeli, niż czuć nieustannie podkradającą się śmierć i przez kilka lat może żyć z tą świadomością, że jest ona wciąż bliżej.

„Wolałbym, aby brat mój był umarł na szubienicy lub od kuli żandarma w czasie uciezki, niż to, że długie lata umierał w twierdzy. Nie było mu lekko. Nie zniósł męczarni, zwaryował. Trzy lata wystarczyły, aby kaźń spełnili na nim. Trzy lata rząd zaciągał powróż coraz to silniej na jego szyi i dopiero po trzech latach agonii przestał żyć“.

Trudno odgadnąć, czem by się był skończył plan uciezki, gdyby go nie zgubiła myśl, nie pamiętam przez kogo wypowiedziana, że trzeba poczekać zatwierdzenia

wyroków, a wtedy w kilka godzin można będzie wykonać nasz zamiar.

Większość zgodziła się na to, a Bardowski uległ większości.

Przygotowania były zrobione i mogliśmy bardzo prędko doprowadzić robotę do końca.

Dzięki umówionej depeszy, powinniśmy byli daleko wcześniej od oficjalnego ogłoszenia wiedzieć o zatwierdzeniu wyroków i wtedy przystąpić do wykonania naszych zamiarów.

Lecz depeszy nie doczekaliśmy się. Zapewne trudno ją było wysłać temu, kto podjął się do tego obowiązku, albo też może nie wiedział on, jaką wyrządza nam krzywdę.

Wróć do tych czterdziestu dni, które spędzaliśmy wszyscy razem w oczekiwaniu końca.

Trwoga nie opuszczała nas. Naprężenie nerwów słabło chwilami, lecz najłżejsze poruszenie w korytarzu, przyście naczelnika więzienia lub kogo innego — znów naprężało te struny.

W tydzień lub półtora po sądzie otrzymaliśmy list z Petersburga. Komunikowano nam, że kar śmierci nie będzie. Źródło było wiarygodne, lecz wielu z nas odniosło się do tego z niedowierzaniem. Piszący zapewne chciał nadzieją skrócić nam męki oczekiwania.

Wielu z nas po otrzymaniu tego listu uważało ucieczkę za bardzo niebezpieczną i mogącą pogorszyć los skazańców.

* * *

W pierwszych dniach po sądzie Kunicki, Janowicz, Cohn, Rechniewski i inni urządzili szkołę, w której wielu z naszych spędzało całe godziny na uczeniu się fizyki, arytmetyki, algebry, geografii, historii i języków.

Zajęcia te miały wiele pożądanых rezultatów; maskowały one doskonale naszą myśl o ucieczce i różne do niej przygotowania. Miały one również ważne i długotrwałe znaczenie, jako pewnego rodzaju szkoła, której od razu poddali się osądzeni na katorgę. Od pierwszych kroków staraliśmy się zużytkować oczekujące nas długie lata, aby z czasem z większym przygotowaniem stanąć w tych szeregach, z których nas wyrwano. Myśl ta wskazywała cel, który przyświecał nam nadzieją, że kiedyś będziemy mogli jeszcze pracować dla sprawy, i że nie wszystko skończone dla nas u progu katorgi.

W te pamiętne czterdzieści dni, kiedy rano każdy witaliśmy myślą o losie naszych skazańców, lubiliśmy wieczorami zbierać się w jednej z cel i, nie zważając na obecność żołnierzy i żandarmów w korytarzu, korzystaliśmy ze swobody zebrań, na których wolne słowo lało się, niczem nie krępowane. Tu mówiliśmy o naszych nadziejach, o naszych błędach, o środkach, za pomocą których możnaby lepiej prowadzić propagandę, lepiej rewolucjonizować masy.

Trudno mi skreślić obraz tych zebrań, dać wyobrażenie o tych uczuciach, które nas nurtowały, o tych słowach gorących, pełnych wiary w sprawiedliwość, o słowach zrywających się z ust, które jutro może na zawsze zamilknąć miały.

Te same słowa w różnych warunkach różne mają znaczenie. Kiedy Ossowski lub Pietrusiński mówił: „niech żyje socjalna rewolucya!“ wiedzieliśmy, że to nie frazes, nie okrzyk nie obowiązujący do niczego i nic nie kosztujący mówiącego: były to słowa, za które mówiący płacił wszystkim, co posiadał. Płacił swem życiem.

Kiedy kto mówił o strasznej nędzy ludu, wiedzieliśmy, że mówiący życie swoje oddaje, aby tej nędzy nie było, aby nie było ucisku i wyzyskiwania, aby wszyscy byli braćmi, aby miłość bratnia nie była pustym słowem. Na zebraniach naszych, nasze proste, czasami nieudatne przemówienia miały znaczenie niepowszednie. Każdy wyraz brzmiał uroczyście, chociaż poprostu był wypowiedziany.

Wieczór zaczynał się u nas około szóstej, gdy rozniesiono kolację i herbatę.

Szczególniej jedno z tych zebrań utkwilo mi w pamięci, może dzięki kontrastowi w słowach towarzyszy.

Wchodzę do celi, gdzieśmy się zwykle zbierali. Zastaję już kilku towarzyszy. Zaczyna się gawęda. Degórski energicznie gładził swą szpakowatą brodę, a oczy radośnie mu się śmiały z pod szerokich, kosmatych brwi na wysokiem czole, lub spracowanemi rękami opierał się o kolana, jakby chciał podtrzymać swoje szerokie barki i zapadłą pierś.

„Kartofle po wsiach skupują za bezcen — mówił — a my płacimy za nie w mieście dobre pieniądze. Czyż ja bym nie mógł także kupić ich na miejscu, sami wieśniacy dowieźliby do stacyi, wsypali w wagony i hajda

do miasta, kartofle o połowę taniej moglibyśmy kupować. Kapusta, buraki, cebula, wszystko to kosztowałoby o połowę mniej. A mydło, świece, cukier moglibyśmy zamawiać wprost z fabryk. Po jakiego dyabła paść nam sklepikarzy swoim groszem? Wiem dobrze, jakie oni interesy robią, widziałem na własne oczy. Za 10 rubli codziennie targują, trzy przejadają... a czwarty do kabzy chowają. To wszystko jasne. Ja się chłopem urodziłem, dopiero po powstaniu do fabryki poszedłem, i wiem dobrze, co znaczy świnia“...

„A ja, chociaż się po powstaniu urodziłem, także wiem, co znaczy świnia“ — przerwał mu młody chłopiec Bugajski, śmiejąc się i ustawicznie mrucząc chore oczy.

Degórski, oszołomiony tym nieoczekiwanym żartem, już chciał odpowiedzieć Bugajskiemu, gdy go wyręczył Bloch, stary przyjaciel Degórskiego.

„Ty prosiątkiem jesteś jeszcze, dlatego przeszkadzasz, kiedy mówią, a nie żartują“.

Bugajski zaczerwienił się i jeszcze bardziej zaczął mrugać. A Degórski ciągnął dalej:

„Każdy z nas wie, co to świnia, lecz nie każdy wie, co za pożyteczne zwierzę świnia. Jeśliby te pomyje, które teraz wylewamy, zbierać w szafliki, to nie mówiąc już o Łodzi, ale u nas, w Zgierzu, ileby to świń wykarmić można było? Pomyje to także pieniądze; teraz one giną marnie, a jeślibyśmy żyli jak bracia, to z tych marnych naszych zarobków moglibyśmy żyć lepiej, niż żyjemy teraz“.

„Łatanina to tylko — wtrącił Dąbrowski — wszystkich

tych, którzy by wzięli udział w waszej gospodarce, posadziliby do kozy, a wasze świnie z głodu by zdechły“.

„No, i posadziliby do kozy — znów wmieszał się Bloch — i świnie by zdechły, a ty myślisz, że korzyści by mniej było z tego?“

„Prawdę mówią starzy — pojednawczo wtrącił Janowicz — ma się rozumieć, przyniosłoby to pewną korzyść. Wszystko to będzie w przyszłym socjalnym ustroju, a teraz myśleć trzeba, jak lepiej, jak prędzej zamienić stary ustrój na nowy, lepszy“.

„A według mnie — mówił Kmieciak — zamiast zajmować się gospodarskimi operacjami, na co siły trzeba tracić, choć się już i tak cały dzień naharujesz, lepiej starać się o to, aby płacili więcej za robotę i dobijając się tego nie przez strejki... Wiele wygrali w Żyrardowie przez strejk? Jak spuścili baseny, zepsuli płótna na wiele tysięcy, połamali maszyny, to zaraz zgodził się Ditrych na ustępstwa. Według mnie, posłać fabrykantowi list drukowany i z pieczęcią, rozkleić go po mieście, niech wszyscy wiedzą, że się boi nas i dlatego ustępuje. Nie ustąpi, popsuc maszyny, spalić fabrykę, aby inni wiedzieli, że lepiej ustąpić, niż upierać się. Raz, drugi tak zrobimy i każda szelma ustąpi. Poco mamy wystawiać siebie, lepiej zalać im sadła za skórę; w kozie i tak zdążymy posiedzieć, a przynajmniej wiedzieć będziemy, że nie za mydła, świece i świnie siedzimy w więzieniu“.

Ossowski przysłuchiwał się w milczeniu tej rozmowie, zlekka opierając się o łóżko. Jego niebieskie oczy patrzyły w dal i teraz, gdy mówić począł, zdawało się,

że głos jego jakby dolatywał z daleka. Mówił nie głośno, jakby rozmyślał, a słowa wyrwały się bezwiednie.

„Co lepsze — trudno zdecydować. Myślę, że wszelkich sposobów użyć trzeba, aby zsolidaryzować cały lud pracujący, aby go zrewolucjonizować. Każdy z nas powinien robić to, do czego zdolny. Nam trzeba tylko pamiętać, żeśmy powinni wyrobić robotników i wieśniaków na taką masę, która by pojmowała swą siłę, aby każdy oddzielny człowiek rozumiał, że w łączności siła uciemiężonych. Nie będzie wtenczas siły, która by mogła złamać nas. Nasze żądania będą prawem i my stworzymy nowe życie. Na miejscu tych bratnich mogił-fabryk, do których tysiące ludzi rzuca teraz konieczność, by tam każdy dzień, każda godzina wysysały im zdrowie i siły na korzyść fabrykantów, możnych i silnych świata tego, — na miejscu tych wspólnych mogił postawimy narodowe fabryki, warsztaty, gdzie, pracując w miarę i z korzyścią dla zdrowia, każdy będzie mógł zaspokoić swoje potrzeby.

„Lecz by dojść do tego, trzeba być siłą. A kóż jest nią, jeśli nie lud roboczy? Nie świadoma ona jeszcze. Więc zadaniem naszym obudzić ze snu te masy, wskazać im drogę wyzwolenia.

„Czytałem dziś, jak w Afryce myszy emigrują do lepszych krajów przed widmem głodu. Dla tych mas nienależy przeszkód, których by one nie przezwyciężyły. Lwy i tygrysy, rzeki i jeziora — wszystkie przeszkody usuwają one ze swej drogi. Wszystko żyjące drży na widok tych pułków, tych legionów. Wszystko żyjące ucieka

przed niemi z trwogą w pustynie i lasy. Biada temu, kto zawczasu nie usunie się z drogi tym małym stworzeniom. Lew — król pustyni i zwierząt; człowiek — król przyrody — padnie, ukarany za swe zuchwalstwo. Rzeki i jeziora napełniają się tysiącami myszy, a zwycięzka armia idzie wciąż naprzód.

„Czyż ludzie mają mniej bodźców? Czyż za plecami robotnika i wieśniaka nie stoi wciąż widmo nędzy i głodu?

„Co mamy do stracenia?

„Śmierć powolną, śmierć z wycieńczenia dla nas i naszych nieszczęsnych dzieci, którym nie możemy nawet krwią własną kupić warunków, koniecznych dla rozwoju ich ciała i umysłu.

„Nam trzeba wszystką tę krew, przelewaną po kropli na każdym kroku życia, złączyć i oddać za lepszą przyszłość.

„Ten ogrom krwi zatopi wszystkich naszych ciemięzców, wszystkich wrogów prawdy i sprawiedliwości, a wtedy nastąpi dzień, w którym zabłyśnie swoboda, równość i braterstwo“.

Zlekka tylko narysowałem kontury, aby dać pojęcie o naszych wieczornych zebraniach. Sądzę, że zachowałem dokładnie ich charakter i wypowiedane na nich myśli.

Jak w kropli wody, w której przełamał się promień słoneczny, ubarwiający ją tęczy kolorami, tak w każdym słowie, brzmiącym w naszej celi, jaśniały wszystkie uczucia, które są ozdobą człowieka. Zdawało się, że słowa ginęły w blasku różnorodnych szlachetnych uczuć, tak

samo, jak kropla ginie w cudnej szacie różnych barw i promieni.

Jak w kropli wody zlewają się różne barwy, dając nowe efekty świetlne, tak uczucia różne w różnym połączeniu dają takie efekty, takie akordy, jakby niewidziane i niesłyszane dotąd. Pod urokiem ich widać już nie ludzi, a ideę. Patrząc na te kalejdoskopy uczuć, słuchając tej pieśni, drgającej olbrzymią potęgą strun serca — wierzy się gorąco w przyszłość ludzkości.

* * *

Mówiąc o naszych zebraniach, nie mogę nie zatrzymać się choć krótko nad stanowiskiem naszym względem kwestyi narodowej.

Jeszcze przed sądem Waryński postawił wniosek, byśmy na sądzie nie mówili po rosyjsku, ale tylko po polsku. Z tego powodu wywiązała się długa dyskusya. Wszyscyśmy zasadniczo zgadzali się z tym wnioskiem, lecz z praktycznych względów przystaliśmy na to, aby umiejący mówili po rosyjsku. Chodziło nam o możliwość wypowiedzenia się na sądzie wyczerpująco. Nasz proces był pierwszym wielkim procesem w Warszawie. Polska cała była zainteresowana przebiegiem rozprawy sądowej. Obowiązkiem naszym było skorzystać z nadarzającej się sposobności, by głos nasz doszedł z sali sądowej do ogółu polskiego, który miał natenczas pojęcie w znacznej części fałszywe o socyalizmie, a w szczególności o socyalistach polskich. Musieliśmy na sądzie jasno wypo-

wiedzieć swoje credo, tak starannie przekręcane przez zacofane dziennikarstwo, ba, nawet przez patryotów.

Nie umiałem po rosyjsku i dlatego mówiłem po polsku, wiem dobrze, jak bardzo przeszkadzały mi ciągłe przerwy tłumacza. Nie można było wyrzeć wrażenia na słuchaczach, zapal mój gasł, rozdrażnienie rosoł, myśli rwały się, nie wypowiadałem tego, co bym był wypowiedział, gdybym mówił po rosyjsku.

Oprócz tych względów, chcieliśmy na sądzie wyciągnąć na światło dzienne różne łajdactwa żandarmskie i prokuratorskie, fałszerstwa dokumentów, bezprawia, którymi był przepełniony prawie każdy dzień procesu. Gdybyśmy mówili tylko po polsku, nie dopięlibyśmy celu, a urządzilibyśmy jedynie przeciw rusyfikatorskiemu rządowi najeźdźców demonstrację, nie mającą znaczenia w danym wypadku wobec tego, żeśmy podjęli wojnę przeciw istniejącemu porządkowi, przeciw wszystkiemu, co gniecie i ciemieży. Sąd nasz był sam przez się demonstracją, w której na każdym kroku piętnowaliśmy rząd rosyjski i jego nikczemnych przedstawicieli. *

Zajmując się na wolności jeszcze propagandą i agitacją, na każdym kroku stykając się z tradycjami powstania, musieliśmy przeciwstawić im ideały socjalistyczne. Śmiało wystawialiśmy nasze ideały w przekonaniu, że tylko one jedne mogą rozwiązać potrójne więzy, w których szamocze się lud polski. Robiąc ustępstwa tradycjom powstania, mogliśmy z socjalizmu zrobić środek tylko, za pomocą którego nieuczciwi trębacze zechcieliby zagrać pobudkę do powstania. My do tego

nie mogliśmy dopuścić, ale nie dlatego, byśmy nie chcieli niepodległości Polski, lecz dlatego, że socjalizm był dla nas celem, a nie środkiem. Nie chcieliśmy odbudowywać starej Polski. Dla zdruzgotania łańcuchów trzech mocarstw, trzeba poruszyć masy pracującego ludu nie fałszywym akordem jakichś polepszeń jego bytu, ale potężnym wezwaniem w imię jego praw, w imię rewolucji socjalnej. Tylko na takie wezwanie powstaną do walki te legiony, z których niesprawiedliwe warunki społeczne wysysają soki życiowe. To będzie dzień zmartwychwstania, w którym zabłyśnie nowa jutrznia i nowe słońce: prawdy i sprawiedliwości.

Jakie przeszkody może garstka ciemięzców i wyzyskiwaczy przeciwstawić tym legionom?

Łańcuchy kajdan?

Jak poryw wiatru rwie wąż pajączyń, tak wtedy rozerwie lud swoje kajdany.

Nie Polska wtedy powstanie, aby zwalczyć najezdców. Ludy powstaną za swe podeptane prawa tak zgodnie, jak na wszystkich zagonach zgodnie kołyszą się trawy i zboża, gdy wiatr nad niemi zaszumi.

Tylko wszechludzki socjalizm wyzwoli nietylko człowieka — jako jednostkę — ze wszelkich pęt, w których go od wieków trzyma stary i zgnity ustrój społeczno-polityczny, lecz całe narody zrobi wolnymi i równouprawnionymi, a międzynarodowa solidarność będzie gwarancją powszechnego pokoju. Zupełny samorząd grup politycznych, które łączyć się będą na podstawie li tylko jedności interesów, da możliwość rozwoju i po-

stępu oddzielnym narodom, co niemożliwe jest przy terażniejszym ustroju politycznym. Teraz, narody, złączone zewnętrzną siłą, przypadkową kombinacją warunków, lub dyplomatycznymi intrygami, utkaniami misternie z przekupstw i zdrad, — teraz narody te, skute siłą najeżdzu — stoją pod jednym dachem imperatorskiej świątyni, której bóg chce, by miliony przeróżnych plemion i ludów zlały się w swych różnorodnych interesach, straciły swoje odrębne cechy i zamarły na wieki, tak jak granit na piedestale jego tronu zastygł niegdyś w wulkanicznych wnętrzach ziemi.

Socjalna rewolucja wniwecz obróci te fantazy koronowanych ^{królów} i ^{królow}, a ludy pójdą drogą postępu ku ogólnemu braterstwu narodów.

Taki był dwa dziesiątki lat temu pogląd nasz na niepodległość Polski. Przejawiał on się w naszej pracy propagatorskiej i agitacyjnej na wolności, wpływał tutaj za kratami we wspólnych naszych rozmowach.

* * *

Dużoby zajęło miejsca, gdybym miał mówić o tem, jak odnosiliśmy się do różnych kwestyi. Mam na celu skreślić nie obrazy naszego życia w ciągu tych pamiętnych czterdziestu dni, chcę powiedzieć o nastroju ducha i narysować postacie skazańców.

Czuję, jak mi trudno wypełnić to zadanie. Obrazy, które tak jaskrawo wypływają w mej pamięci, które tak silnie działają na moje uczucia, tak boleśnie ściskają serce, obrazy te bledną pod piórem. Drogie mi wspo-

mnienia, pamiątki po tylu dzielnych towarzyszach, co dla dobra bliźnich zaparli się siebie, towarzyszków zamęczonych przez katorgę, zmarłych na etapach sybirskich, w więzieniach, zamordowanych na szubienicy... Postacie ich cisną się w mej pamięci, myśl biegnie od jednych do drugich, a pióro nie jest w stanie opisać tych drogich braci, ani podążyć za moją myślą.

Wspominałem już o Degórskim. Jego praktyczny umysł nie przeszkadzał mu bynajmniej być pełnym wiary i zdolnym do poświęceń. W powstaniu 63 r. brał on czynny udział, a teraz jeden z pierwszych stanął pod sztandarem socjalizmu. 56 lat życia wcale nie ostudziły w nim zapału. Zdawało się, że w długim tem życiu czerpał siły do nowej walki.

Bloch, w wieku czterdziestu kilku lat, z pochodzenia był Niemcem. Jego szczupła i niewielka figurka, jego twarz o drobnych rysach odrazu zdobywały sobie sympatyę. Umysł bystry, przenikliwy, jak te małe oczy, które zdawały się widzieć myśli drugich. Prędko oryentował się w nowych dla niego kwestiach, i zdawało się, że dawno już nad nimi rozmyślał, bo wypowiedane przez niego zdania zawsze były krótkie, a gruntowne.

Degórski i Bloch byli tkaczami w Zgierzu. Obaj odznaczeni wrodzonym rozumem, a uwagi ich i zdania były zawsze poważne i wzbudzały ku nim szacunek. Obaj byli ojcami licznych rodzin. Położenie ich było bardzo ciężkie, lecz spokojnie nieśli swą ofiarę na ołtarz sprawy.

Pietrusiński był śmiały i energiczny tkacz, młody

i silny, z czarnymi włosami, które poetycznie układały się w pukle, okalające energiczną, wyrazistą twarz z przelicznymi, nieco zmrużonymi oczyma.

Stolarz Jan Helszer (brat zabitego zdrajcy) milczący, niezłomny, wszystko najdroższe na świecie gotów był poświęcić dla sprawy.

Wszyscy czterej byli oni jedną ofiarą, którą zdrajca Pacanowski rzucił żandarmom dla ocalenia swej skóry. I oto wszyscy czterej stoją spokojnie, gotowi wypić kielich cierpienia, podany ręką zdrajcy.

Wszyscy oni oskarżeni byli o zabójstwo zdrajcy Franciszka Helszera. Nie było przeciwko nim żadnych dowodów, prócz zeznań Pacanowskiego, który sam żandarmom przyznał się na śledztwie, że przyjmował udział w tej sprawie i na tych czterech, jako uczestników wskazał.

Popławski, którego także zaplątał Pacanowski w to zabójstwo, widząc, do czego ten ostatni zmierza, oświadczył na sądzie, że Pietrusiński, Jan Helszer, Bloch i Degórski są zupełnie niewinni, Helszera zabił on, a Pacanowski towarzyszył mu w oddaleniu.

Wielu z nas na sądzie zbijało Pacanowskiego, podając w wątpliwość wiarygodność jego słów. Adwokaci niejednokrotnie wskazywali na fałsz i fantastyczność jego zeznań, lecz wszystko to nadaremnie.

Nazwałem Jana Helszera niezłomnym, gotowym wszystko najdroższe na świecie poświęcić dla dobra sprawy.

Jakże blade są słowa moje, jakże mało mówią one

o tem strasznej piekle, o tej otchłani, w której walczyły tak sprzeczne uczucia.

To była walka, z której wyjść zwycięsko mógł tylko człowiek-tytan. Nie była to wojna między dobrem i złem, tak malowniczo opowiedziana w biblji, w której anioły zwyciężały szatanów. Nie była to ta walka, którą stacaliśmy my sami, wybierając między złem i dobrem. To była walka między miłością dla brata i miłością dla sprawy.

Wspominając tytana tego, korzy się myśl przed ogromem jego wiary i zaparcia się siebie.

Gdy go wspominam, staje w wyobraźni mojej obraz jego. Twarz blada, oczy niebieskie, w nich zaduma i tęsknota, ale z niezłomnością połączone. Postać chuda, choć silna, wysoka i pełna skromności.

Ten szeregowiec rewolucyjny — to olbrzym moralny.

Kunicki i Ossowski przeszli także ciężką chwilę. Serca ich, w których oddźwięk znajdowało wszystko, co dobre, wielką musiały stoczyć walkę ze wstrętem do rozlewu krwi.

Kunicki napisał odezwę, w której doskonale odbija się jego dusza.

„Towarzysze! Bolesną nowiną dzielimy się z Wami! Ze wstrętem niewypowiedzianym — bo myśmy jeszcze, tak jak rząd, nieprzyzwyczajeni do potwornego krwi rozlewu — zmuszeni byliśmy umaczać ręce w krwi jednego z byłych towarzyszy naszych...“

Dalej mówi odezwa, że trzeba było nam wybrać albo śmierć zdrajcy, albo pozwolić na to, aby on wy-

dał kilkunastu naszych towarzyszków w ręce carskich oprawców.

Następnie przestroga:

„Kto występuje do walki z ciemieżcami sprawy robotniczej, ten doskonale rozumie, że mu co chwila zagraża cytadela lub Sybir. Jeżeli nie czuje w sobie sił dostatecznych, aby walczyć na życie i śmierć, niech raczej pozostanie na boku — bo lepiej, aby nas było mniej, ale niech zdrajców pomiędzy nami nie będzie!”

Co musiał przeżyć człowiek taki jak Kunicki, biorąc choć pośredni udział w zabiciu zdrajcy, ten tylko zrozumieć może, kto go znał dobrze.

Gdziekolwiek znalazł się Kunicki, wszędzie otaczano go sympatją. Ci wszyscy, z którymi stykał się Stach, kochali go bardzo. Zdawało się, że ta miłość, którą pałał ku bliźnim, odbijała się w sercach otaczających i znów oblewała Stacha promieniami swoimi.

Oczy jego ogniste były, dobre i czułe. Błyszczały one na śniadej twarzy, okolonej kruczo-czarnymi wijącymi się włosami.

Matka jego była gruzinką. Ojca zesłano za udział w powstaniu na Kaukaz. Na Kaukazie urodził się Staś. Śmiały był i zręczny.

Pamiętam, jak raz spacerowaliśmy całą grupą po dziedzińcu cytadeli. Stach rozmawiał z Boguszewiczówną i Felsenhardt, które stały w oknie pierwszego piętra. My zaś oddaliliśmy się, aby rozmowa nie była zanadto demonstracyjną. Żandarmi stali na uboczu, nie zwracając uwagi na rozmowę. Stach rozmawiał i nie zauważył żo-

nierza, który, stanąwszy nagle obok niego, skierował bagnet ku niemu i przeraźliwie krzyknął: „uchodi!”

Stach, oburzony tą niespodzianką, zamiast odejść, jak pantera rzucił się na żołnierza...

Sekunda — żołnierz był rozbrojony.

Gdyśmy na przeraźliwy okrzyk żołnierza spojrzeli w jego stronę, ujrzeliśmy Stacha z karabinem w ręku, z bagnetem, skierowanym ku zdumionemu i przerażonemu szyldwachowi.

„A co, jeśli cię teraz przebiję“, mówił spokojnie Stach rozbrojonemu, „wtedy będziesz wiedział, jak napadać na bezbronnych!”

Dwaj żandarmi, stojący blisko, skamienieli, zobaczywszy Kunickiego z bronią w ręku.

Stachowi żal się zrobiło przerażonego żołnierza, oddał mu karabin, z którym tamten pomaszerował prędko, jakby uciekał.

Kunicki podszedł do żandarmów i prosił ich, by nie donosili na żołnierza. Nie odszedł, póki ci nie przyrzekli mu tego, przekonani argumentem Stacha, że i im grozi nieprzyjemność, bo sami nie przeszkadzili rozmowie. Gdyby żandarmi donieśli na żołnierza, oddano by go pod sąd wojenny. Kunicki nie chciał do tego dopuścić, sądząc, że żołnierz dostateczną otrzymał naukę.

Przypomina mi się jeszcze jeden wypadek z jego życia.

Policja, rozstawiając sieci na Stacha, ustawicznie śledziła jego rodzinę, mieszkającą w Warszawie. Raz matka jego z siostrą weszła do jednej z alei Saskiego

ogrodu. Tą samą aleją przypadkowo szedł Stach. Gdy matka zobaczyła go — zemdłała. Stachowi serce ścisnęło się z bólu. Cucić matki nie mógł: nie miał sekundy do stracenia. W oka mgnieniu przeskoczył przez gazony i znikł za krzewami.

W tej samej chwili na zakręcie ukazali się szpiedzy. Nie zrozumieli oni, co się stało, gdyż nie zauważyli Stacha, jednakże później zdarzenie to przekonało ich, że Kunicki w Warszawie, wytężyli więc wszystkie swe siły, by złapać jednego z „najniebezpieczniejszych“ działaczy. Po tem zajściu Stach wyjechał na jakiś czas z Warszawy, by wtedy, gdy policya traciła energię na szukanie go, załatwiać różne sprawy w dalekich od Warszawy miastach.

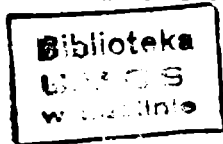
Położenie rodziny Kunickiego było nad wyraz okropne w ciągu owych czterdziestu dni.

Młodszy brat Stanisława zastrzelił się podczas sądu nad nami. Stanisław, starszy syn, skazany na powieszenie. Dzień za dniem upływa po sądzie, a biedni rodzice szamoczą się w męczarni, nie mogąc nic zrobić dla jego ocalenia, a tu czas płynie... każda chwila może zadać śmiertelny cios ich ukochanemu Stasiowi.

Czterdzieści dni! To wieczność cała. To piekło mąk i cierpienia.

* * *

W owe czterdzieści dni, co ranek, budząc się w swych pysznych nadnewskich pałacach, czy wspominali katy o swych ofiarach w Warszawie? Czemuż zwlekali z pod-



pisaniem wyroków? Telegraf łączył Warszawę z Petersburgiem. Druty jego były do usług katów, a każde ich słowo natychmiast dolatywało do Warszawy. A w Warszawie aż nadto carskich oprawców, gotowych zamordować bezbronnych...

Czemuż zwlekali?

Może car przed podpisaniem wyroków sam studjuje akta śledcze i protokoły sądowe?

Bardzo by się mylił ten, kto by pomyślał, że car studjuje te stopy papierów, co spokojnie leżały w Warszawie. obrońcy, którzy przyjechali z Petersburga, oświadczyli stanowczo jeszcze przed rozpoczęciem posiedzeń sądowych, że Bardowskiemu nic pomódz nie mogą swoją obroną, gdyż los jego zadecydowany. Na sądzie obrońcy trzy dni dowodzili i dowiedli jasno, że niemożna do nas zastosować w żadnym razie § 249, za przekroczenie którego grozi każdemu kara śmierci. Zbrodnia nasza nie kwalifikuje się pod § 249. Wskazywali oni inne paragrafy, odpowiadające w zupełności naszym przewinom, groziła za nie katoga tylko i osiedlenie.

Wtenczas to główny prokurator Morawski wygłosił swe magiczne i bezwstydne słowa: „Jak mi dokładnie wiadomo, w najwyższych sferach panuje przekonanie, że do wszystkich podsądnych trzeba zastosować § 249. Dlatego żądam dla wszystkich kary śmierci przez powieszenie“. Kończąc te słowa, Morawski zrobił wymowny gest ręką po szyi. Była to krótka odpowiedź prokuratorowi na gruntowną argumentację obrony.

Jak pojąć te słowa?

Jasne one. Jeżeli wyższe sfery chcą kary śmierci dla podsądnych, to rzecz sądu zastosować taki paragraf, który daje możliwość zastosowania kary śmierci.

Życzenie wyższych sfer — ponad prawem.

Decyzje były w wyższych sferach zawczasu powzięte.

Zmuszono nas czekać... Z nami oczekiwali krewni i znajomi, a car ze swoją sforą zwlekał.

Nie spieszył się. Świątowali Boże Narodzenie. Aleksander III był pobożnym; nie godziło się zabijać w takim bigockim nastroju.

Car nietylko zabija, on torturuje swych wrogów.

Wysłał on swoich siepaczy, którzy jak ptaki drapieżne szarpali miłością drgające serca matek, ojców, siostr, braci i dzieci naszych...

Wy, carskie sługi, mówiliście naszym blizkim: „myśmy wszystko gotowi zrobić dla was, tylko niech oni... pokłonią się naszemu carowi“.

Jak Chrystusa na pustyni przez czterdzieści dni w sieci swoje pochwycić chciał szatan, tak i nas przez czterdzieści dni prześladowały słowa:

„Pokłoń się“.

A oni... złożyli swe życie w ofierze. Umarli. — Męczennicy.

* * *

Myśl moja daleko naprzód wybiegła. Zwrócę się do tych pamiętnych dni, kiedy nie wiedzieliśmy, co oczekuje naszych skazańców.

Każdy ranek budził nas myślą: czem skończy się ten nowy dzień?

Bacznie śledziliśmy za żandarmami, przechodzącymi przez korytarz lub przez podwórze. Staraliśmy się wyczytać w ich wzroku, czy nie zanosi się na co. Lecz nadaremnie, twarze ich nic nie mówiły. Wtedy oczekiwaliśmy widzeń z krewnymi, które dawano dość często. Na widzeniach znów śledziliśmy za wyrazem twarzy oficerów żandarmskich, za ich każdym słowem, gestem. Lecz oni nic nie wiedzieli, mogli tylko usłyszeć przypadkowo jakiś urywek rozmowy i robić przypuszczenia na jego podstawie. Chwytailiśmy te półstowa, kombinowaliśmy je, lecz to wszystko nie mogło uchylić zasłony, zakrywającej przyszłość naszych skazańców.

Lekcyje, spacer, rozmowy, czytanie, wszystko to, przeplatane trwogą o los skazańców, zapełniało dzień.

Wieczór nadchodził. Nie wiem dlaczego, jakoś spokojniejszą stawała się atmosfera na naszym korytarzu. Może nerwy przytępiła oczekiwanie, a może jakoś zdawało się, że choć w ciągu tych kilku godzin mniej jest szans, by zaczęły się jakieś kroki ze strony żandarmów. Ma się rozumieć, nie przeszkadzało to temu, że gdy ktoś zauważył jakiś szmer podejrzany i zaczął mu się przysłuchiwać, wszyscy zamierali w milczeniu, i myśl o skazańcach zamęcała na długo nasz spokój.

Zdarzało się, że w głąbą północ słyszę nagle stukanie sąsiada. Budzę się natychmiast. Sen pierzchnął z powiek. W jednej sekundzie znajduję się już przy „tunelu“, drżącym głosem pytam o przyczynę i słyszę:

„Co u was, Bardowski tu?“

„Tutaj, śpimy“, odpowiadam.

„Spytajcie, co ze Stachem, jakiś stuk podejrzany w korytarzu obudził nas“.

Biegnę do drugiego sąsiada, lecz ten zapewnia, że nie spał i nic nie słyszał. Decydujemy się nie trwożyć Stacha: „niech śpi sobie spokojnie“.

Przychodzimy do przekonania, że sąsiada przebudził własny jego sen. Śnił mu się tupot nóg w korytarzu, szcęk broni, śniło mu się, że żołnierze przyszli po skazańców.

Cisza znów zalega nasze cele. Lecz w tej nocnej ciszy wieleż było boleści i trwogi!

* * *

Mieszkając w jednej celi z Bardowskim, często rozmawialiśmy o planach na przyszłość. Nadzieja ucieczki nie opuszczała go.

Nie czuł on się zdolnym do pracy organizacyjnej. Myślą jego było wyjechać za granicę i tam oddać się naukom socyalnym i literaturze rewolucyjnej. Bez wątpienia, mógłby zająć na tem polu wybitne stanowisko.

Jak wiadomo z toku śledztwa, nie był on członkiem partii „Proletaryat“. Sympatyzował jednakże i bardzo ważne usługi oddał naszej partyi.

Pierwsza moja znajomość z nim i z żoną jego datuje się od pierwszych dni mego przyjazdu do Warszawy. Było to wkrótce po aresztowaniu Ludwika Waryńskiego. Jak serdecznie, z jakim żalem mówili Bar-

dowscy o tem aresztowaniu, które było niepowetowaną stratą dla partyi. My wszyscy, znający Bardowskich, lubiliśmy ich bardzo. Tak serdecznie witano nas w tym domu. My też z przecznością wielką i tylko w razie nieodzownej potrzeby zachodziliśmy do nich. Gdy zaczęto mnie śledzić, ani razu nie zdecydowałem się zajść do ich domu.

Gdy w rok prawie po mojem aresztowaniu dowiedziałem się, że sędzia Bardowski z Kunickim w cytadeli, ścisnęło się boleśnie me serce. Pojąłem, jaki cios zadano partyi.

Żona Bardowskiego zwaryowała w X pawilonie. Na sądzie się wykryło, co robili żandarmi i prokuratora z chorą umysłowo kobietą, jak ją maltretowali, by wymusić takie zeznania, jakie im były potrzebne.

Chociaż z biegu sprawy jasnem było dla Bardowskiego, że żandarmi zrobili wszystko, aby wprowadzić go na szubienicę, chociaż adwokaci, jak już mówiłem, oświadczyli przed rozpoczęciem sprawy, że los jego zdecydowany — on jednak odrzucił ze wstrętem zaproponowane mu przez jednego z obrońców napisanie prośby o ułaskawienie.

Mówił on: „sąd dostatecznie wyjaśnił, że nie należałem do partyi. Za te przekroczenia, które popełniłem, bezprawie tylko mogło mnie osądzić na śmierć. Takim samem bezprawiem będzie zatwierdzenie tego wyroku. Nie widzę powodu, dla którego musiałbym korzystać się przed tem bezprawiem, które cynicznie urąga sprawiedliwości“.

Bardowski jedyny punkt wyjścia widział w ucieczce. Przygotowania do niej były zrobione. Oczekiwaliśmy z niecierpliwością wieści o wyrokach, aby przystąpić do wypełnienia naszego planu.

Piotr Bardowski był jednym z sędziów pokoju, których rząd wyznaczył do Warszawy. Był on wybitnym prawnikiem i znawcą kodeksu Napoleona. W różnych kwestjach prawnych Hurko zasięgał rady Bardowskiego. Teraz satrapa mścił się na swoim doradcy, który zawiódł pokładane w nim zaufanie i który, będąc w przyjaźni z rewolucjonistami, mógł im komunikować różne wiadomości, słyszane w zamku u Hurki.

Chęcią zemsty jedynie można wytłomaczyć wyrok śmierci na Mikołaja Lury, kapitana inżynierii, który sympatyzował tylko z naszą partią i okazywał pomoc pieniężną. Hurko mścił się na nim również za to zaufanie, które w nim pokładał, oddawszy mu kierownictwo budowy fortu około twierdzy Modlińskiej, choć, ma się rozumieć, żadnej tajemnicy fortyfikacyjnej Lury nie naruszył.

Z Ludwikiem Waryńskim spotykałem się tylko w więzieniach. Pierwszy raz w więzieniu krakowskim, drugi — w X pawilonie.

Proces krakowski nosił nazwę „Ludwika Waryńskiego i 34 współoskarżonych“. Sąd przysięgłych wszystkich nas uniewinnił przy ogólnych owacyjnych oklaskach tłumnie zebranej publiczności.

Teraz znów na ławie oskarżonych spotkaliśmy się z sobą w Warszawie.

Ludwik był głównym kierownikiem ruchu w Polsce. Zdobył sobie to stanowisko, jako zdolny organizator i mówca. W obu procesach Waryński był rzecznikiem podsądnych.

Natura Waryńskiego tylko w rewolucyi znaleźć mogła to obszerne pole dla swej potężnej energii. Rewolucya była jego żywiołem. Nią tylko żył.

W więzieniu był apatycznym. Na sądzie ożywił się. Teraz, na naszych zebraniach nieraz wygłaszał pełne zapamiętany mowy. Wogóle zaś posępnym był jak orzeł w klatce. Zdarzało się, że na widok wrogów porywał go straszny gniew. Wtedy z oczów jego zdawały się sypać iskry. Siepacze cofali się z przerażeniem przed siłą ducha jeńca. Większość dnia leżał w milczeniu na łóżku, zarzuciwszy ręce pod głowę. Rzadko i mało rozmawiał, choć zdawało się, że z zadowoleniem witał towarzyszy, którzy przychodzili pogadać z nim. Lubilem jego uśmiech, był taki serdeczny, prawie że dziecięcy...

Wszystkie nasze starania, by wyrwać Ludę z jego zadumy, kończyły się tem, że ożywił się chwilowo w obecności towarzyszy, a potem, pozostawiony samemu sobie, znów posępniał, i stawał się podobnym do orła w klatce, na którego nikt nie patrzy. Zdawało się, że on gdzieś daleko... może myślą szybuje w przestworzu... a może... chce skrzydła złożyć i piorunem z jasnego nieba uderzyć pierśią na wroga. Ale z jego spokojnej twarzy nic nie można było wyczytać, prócz tego chyba, że umiera w niewoli.

Cichy i skromny Ludwik Janowicz był małomównym.

W jego słowach, postaci i obchodzeniu się było tyle miłości i poświęcenia, że nawet żandarmi odczuwali jego urok.

Natura to była na wskroś altruistyczna.

Tacy ludzie rodzą się jakby dlatego, aby otaczający widzieli, do jakich wyżyn moralnych może wznieść się ludzkość.

Janowicz był więcej Chrystusem niż rewolucjonistą.

Z niechęcią przerywam na teraz te pobieżne charakterystyki towarzyszy z ławy oskarżonych. Z czasem w historii ruchu socjalistycznego wypłyną ich drogie obrazy.

Oprócz tych towarzyszy, z którymi złączyła mnie nie tylko idea, lecz i sala sądowa, powstają w mej pamięci równie bliskie sercu postacie administracyjnie zesłanych. A było ich niemało. Serca ich były również poświęceniem, myśl także gorliwie szukała drogi do szczęścia ludzkości.

Postacie Maryi Bohuszewiczówny, Rozalii Felsenhard, Razumiejczyków brata i siostry, Krzemińskiego i tylu, tylu innych, zmarłych w więzieniach, na etapach syberyjskich, po których tylko mógł tyle pozostało...

Wszyscy oni cierpieli, bo kochali. Kochali, bo nie mogli nie kochać. W tych słowach ich krótka historia.

Nie mogli oni jeść, gdy lud marł z nędzy. Gdy dokoła nich było bezprawie, niesprawiedliwość, ciemnota — nie mogli oni spać spokojnie.

Zająć się filantropią nie mogli, gdyż pojmwali, że ona całego oceanu zła usunąć nie może; nie mogli ludzić

się, rozumieli bowiem, że filantropia, chcąc nieść pomoc szczupłej garstce, ciągnie soki z mas, a masom pomódz może li tylko rewolucja socyalna.

Pojmowali, że siły ich nierówne wobec sił ciemięzców, wiedzieli, że zginą, nie zobaczywszy brzasku upragnionego dnia, lecz wierzyli, że po ich trupach przechodzić będą nowi szermierze, coraz to liczniejsi, coraz to więcej mający zwolenników i szans zwycięstwa.

Ażeby kupić to zwycięstwo, jakież straty mogą być za wielkie, jakież męczarnie za straszne?

* * *

Nie łatwo było umierać towarzyszom naszym. Niemalą była ich ofiara. Chciało się im żyć i walczyć.

Niepewność, co dzień jutrzejszy przyniesie, życie czy śmierć — targła ich nerwy.

Po miesiącu tego wyczekiwania, na twarzach skaźców widniała pieczęć śmierci. Rysy zaostrzyły się, i zdawało się, że w oczach śmierć uwiła sobie gniazdo. Oczy te patrzyły tak dziwnie, jak gdyby myśl tych ludzi przywykła już do ciemnej i chłodnej mogiły, niemającej nic wspólnego z życiem. Czasami zdawało się, że nie zatarły się jeszcze wspomnienia o walce zaciętej za życia... lecz wkrótce już wejdą oni do mogiły, a tam... rozerwą się węzły, łączące ich z życiem. Spełnili swój obowiązek i odchodzą dobrowolnie w wieczną nirwanę...

* * *

Zwolna skradał się czterdziesty dzień.

Dni szły i noce przechodziły swoją koleją. Lekcje, spacery grupami, czytanie, wspólne rozmowy wieczorami, widzenia z krewnymi, wypełniały nasze więzienne życie.

Pisaliśmy zbiorowe i oddzielne listy do towarzyszy, znajdujących się na wolności. Niektóre z nich przedrukowano, odbijał się w nich jasno nastrój, który opisałem.

27 stycznia byliśmy na spacerze, gdy żandarmi zawiadomili nas, abyśmy przerwali spacer, gdyż „władze przyjechały“.

Powróciliśmy do cel. Zamknięto nas.

Minuty przechodziły w ciszy.

Wszyscyśmy zamarli w oczekiwaniu. Co nam przyniesie ten przyjazd?

Cisza, ale nie było w niej żadnych złowrogich oznak. W kwadrans później ktoś z wyższych władz przeszedł po naszym korytarzu. Powiedziały nam o tem kroki żandarmów i ich szybkie miarowe poruszenia.

Przeszli, nie weszli do żadnej celi.

Znow cisza. Zwykła cisza. Nie taka, jak przed przyjściem władz. Wtedy czuć było naprężenie, oczekiwanie. Teraz w ciszy na korytarzu słychać było ciche szepty żandarmów: dzielą się wrażeniami, wywołanemi przez te odwiedziny. Lżej nam się zrobiło. Odetchnęliśmy swobodniej. Był zapewne jakiś generał, który oglądał więzienie... i nic więcej.

Wizyta jego nie ma nic wspólnego z naszymi skazańcami.

Przechadzkę naszą skrócono o jakie pół godziny... a teraz już dawno przeszła pora spacerów... nic przeto dziwnego, że nie wyprowadzają znów na spacer...

Zawierucha trwogi zaczynała cichnąć.

Znów życie więzienne zdawało się iść swą zwykłą koleją.

Dzieliliśmy się z Bardowskim naszymi myślami, gdy wtem drzwi otworzono i starszy podoficer poprosił do kancelaryi Bardowskiego.

Jak gdyby nóż przeszył moje serce.

„Czy to nie koniec?“ Myśl ta, jak ptak raniony, zatrzepotała w mym mózgu.

Bardowski, chcąc zapewne choć w części uchylić zasłonę, spytał:

„Ubierać się?“

„Nie“, odpowiedział starszy, „tylko do kancelaryi, rachunek zrobić z zawiadowcą“.

Patrzyłem rozgorączkowany.

Bardowski rzucił mi spojrzenie i wyszedł z celi.

Zrozumiałem jego wzrok. Była w nim nadzieja, lecz było i pożegnanie.

„Powieszają!... Powieszają!...“ targnęło myśl moją.

„Wszystko skończone...“

„Ucieczką już teraz nie wrócić im życia!“

Zabrali także Kunickiego, Pietrusińskiego i Ossowskiego.

Wiadomo, po co...

Do celi wszedł znów starszy z żandarmami zabierać rzeczy Bardowskiego.

O nic nie pytałem. Podeszedłem do starszego i popatrzyłem mu w oczy.

Zrozumiał mnie.

W oczach jego wyczytałem żal i zgrozę. Odwrócił się.

Łzy nie pocięły z mych oczu. Łkanie nie dławilo mi piersi. Ogarnęła mnie żądza strasznej zemsty... Zemsty, za którą gotów byłbym iść na wszelkie męczarnie.

„Zemścić się! zemścić się!... a później niech palą na wolnym ogniu... niech rwą ciało na części... tylko zemścić się!... strasznie zemścić!...“

Wtedy... pierwszy raz w życiu ogarnęło mnie straszne uczucie... najstraszliwsze dla człowieka, uczucie niemocy... Niemocy wtedy, gdy pali żądza posiadania nadziemskiej siły...

Matka, siedząca nad kołyską umierającego jedyne dziecko, czuje pewnie to, co myśmy czuli w ten straszny dzień.

Gorąco, do bólu pragnąłem siły całego swego życia skupić w jednej minucie i całą tą siłą uderzyć w bezdusznych katów.

Byliśmy bezsilni. Nic... nic zrobić nie mogliśmy, i tylko ból, ból straszny ścisnął nam serca... Ścisnął nam skronie...

* * *

Cztery te zabójstwa, popełnione przez carat, zajmują tak mało miejsca w ogromnej księdze jego ofiar.

W księgę tę szermierze za wolność, za lepszą dolę ludzkości śmiało wpisują swoje imiona.

Szermierze nasi nie giną na krwawem polu swej walki, jak ofiary wojen, na które rządy pędzą liczne pułki, by broniły interesów szajki grabicieli.

Wiemy, że nasze marzenia, nasze ideały, nie giną z ostatniem tchnieniem, wyrwanem z piersi naszej ręką kata. Nie giną, gdy brama więzienna, jak wieko trumny, zatrzaśnie się za nami.

Sztandar nasz podniosą w boju następcy nasi. Poprowadzą oni pracę odrodzenia społecznego ku nowemu ustrojowi.

Nasi blizcy, rodziny nasze oplakują naszych towarzyszy nie temi łzami, które płyną nad bezwocnymi ofiarami wojen.

Naszych poległych oplakują łzami dumnymi. Łzy te, zmieszane z krwią i cierpieniami naszymi, są rękojmnią lepszej przyszłości.

Lecz oprócz tej księgi poległych szermierzy, jest jeszcze inna księga, daleko większa od pierwszej. Jej stronicę ciągną się od Petersburga do Kamczatki, od morza Czarnego do Oceanu Lodowatego.

Niema na tym obszarze piędzi ziemi, gdzie by nie przelano krwi ludu, ofiar caratu.

On, jak wampir, wysysa krew narodów. On, jak potwór, tysiącami kleszczy dosięga wszędzie swoje ofiary. On, jak pająk, pokrył pajęczyną cały ten obszar, i wszędzie ludzkie ofiary szamoczą się w jego pętach.

Chłop ciemny, okradany przez podatki, ograbiony z ziemi — mrze z głodu.

Robotnik wynędział. Gniece go swem kołem

postęp, ten sam postęp, który powinienby ulżyć jego pracy, pomnożyć jej owoce.

Ale banda łotrów z ^{kradzie} c...m na czele bacznie śledzi, by wydrzeć owoc pracy ludów. Bacznie śledzi, by każdą maszynę, cały postęp wyzyskać tylko dla siebie.

Gromadzą bogactwa, przesycili się już niemi, gromadzą wcięż, i gromadzić chcą bez końca.

Gdy nowa maszyna wyrzuca tysiące robotników bez chleba na ulicę, oni bez troski napętniają swoje kieszenie.

Gdy wszczęła się wojna, rozniecona przez tych łotrów, gdy lud ginie od kul nieprzyjacielskich dla ich występnych planów, oni kradną, grabią bez końca. Grabią ranionego, grabią osieroconą rodzinę poległego, grabią i kradną zapasy armii, wszystko kradną i grabią.

Gdy nieurodzaj w kraju, gdy ludzie mrą z głodu, oni i wtedy grabią. Ceny chleba podnoszą się. Dla nich to nie klęska, — to tryumf kapitału.

Najemnicy w sutannach w domach bożych i szkołach prawią o królestwie, które czeka nieszczęsny lud pracujący na tamym świecie, na tym zaś trzeba z pokorą przyjmować te „dopuszczenia Boże“. Uczą oni, że Bóg tak chce i tak stworzył świat, aby miliony ludu posłuszne były pomazańcom Bożym, aby pracowały na tę zgraję panów, zowiących się starszą bracią, na szpiegów, żandarmów i innych pasożytów proletaryatu.

Kto z sercem otwartym dla prawdy i sprawiedliwości wpatrzy się we współczesne stosunki, zobaczy tę przepaść, tę otchłań, oddzielającą ciemnych i wyzyski-

waczów — od milionów zgarbionych nad wieczną pracą. Kto pogardzi tą zbójecką bandą i pójdzie ku tym milionom wydziedziczonych z kagańcem prawdy i sprawiedliwości, z pochodnią walki za lepszą przyszłość, ten powinien być gotów na cierpienia, na męczarnie, na śmierć.

W Rosyi kara śmierci zniesiona. Lecz car może oddać każdego swojego wroga pod sąd wojenny. A sąd wojenny już napewno zasądzi tak, jak tego sobie życzą carscy siepacze. Niema kary śmierci, a wieleż ofiar powieszono? Wieszano wojskowych i cywilnych, mężczyzn i kobiety, dorosłych i niepełnoletnich. Z chłodnem wyrachowaniem morzono w więzieniach, gdy szubienic było za wiele. Ginęli nasi szermierze, skoszeni ciężką drogą etapu, zasiewając ją swemi kośćmi. Ginęli i giną na obszarach Syberyi.

* * *

Idą szermierze, idą wciąż nowi na Golgotę. Idą pośród katów i ciemnego tłumu, rzucającego na nich kamienie.

Mijają pokolenia.

Coraz to mniej rąk, rzucających kamienie na tych ludzi niepojętych, nieustraszonych. Coraz częściej, coraz liczniej oddzielają się od tłumu tacy, co śmiało wstępują na ciernistą, zbryzganą krwią drogę, wiodącą na Golgotę.

Cóż to za potężna siła coraz to liczniejsze zastępy, bojowników śle na tę Golgotę ludzkości?

Jakaż to siła budzi w męczennikach to zaparcie się

siebie i daje możność stać na szafocie z dumnie podniesionymi głowami, jak stali Pietrusiński, Ossowski, Bardowski, Kunicki — i wzniesć w ostatniej chwili życia okrzyk:

„Niech żyje Rewolucya Socyalna! Niech żyje Proletaryat! Niech żyje Swoboda!“

* * *

Pogrzebano ich na miejscu stracenia, na stokach cytadeli warszawskiej.

Tam Wisła kołysze ich do snu wiecznego...

Przy szumie jej fal śnią o szczęściu, o lepszej doli ludzkości.

A pamięć o nich żyje, budzi żądzę walki i budzić będzie, póki nie urzeczywistnią się ich marzenia, póki nie zwycięży Rewolucya Socyalna. •

Skończyłem nad jeziorem

»Czterech kantonów« 2/X 1904 r.

3109 45.6

Biblioteka Główna Uniwersytetu
Marii Curie - Skłodowskiej w Lublinie

A 11 518

BIBLIOTEKA U. M. C S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki